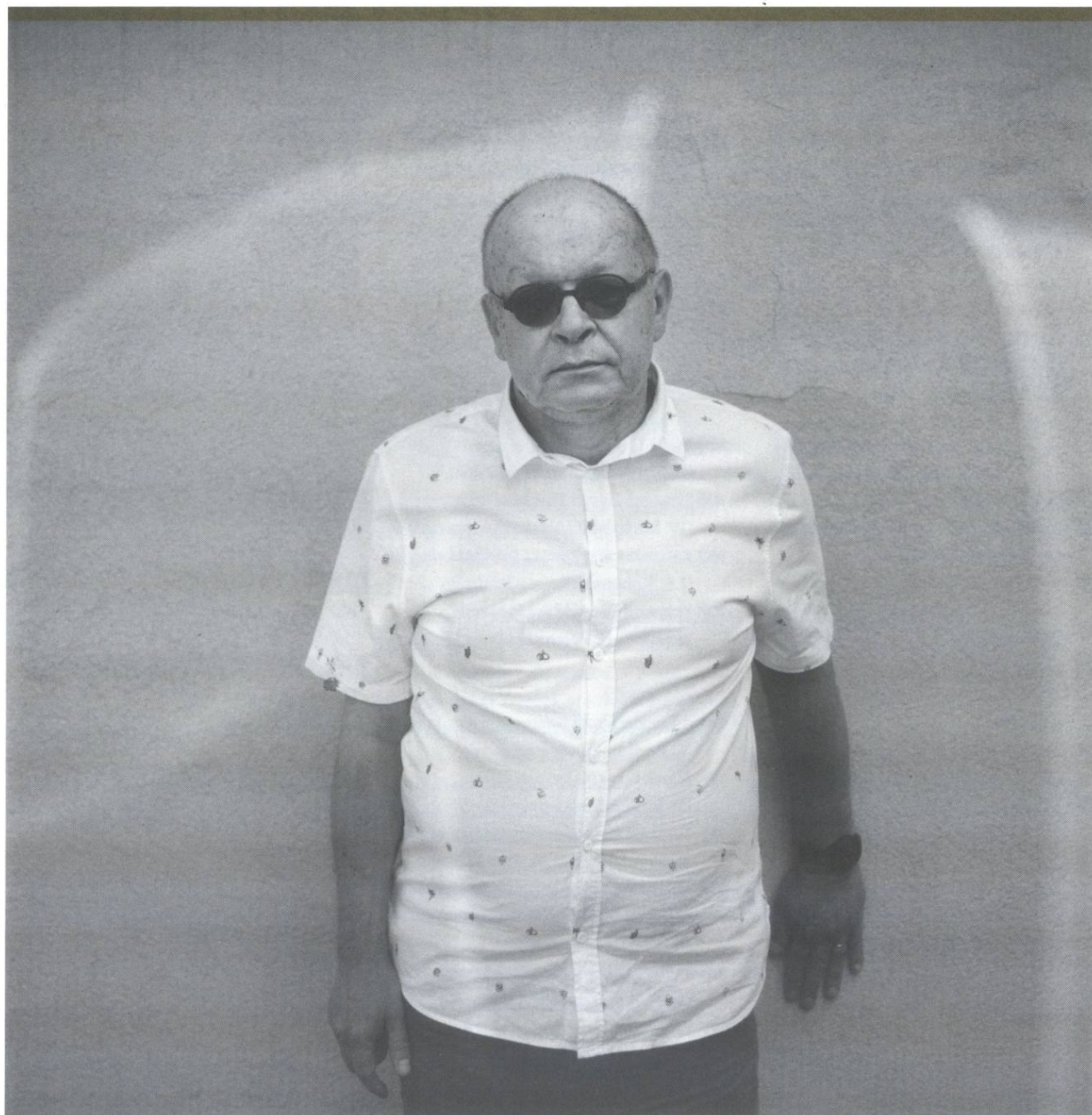


Po co nam **historia** historiografii?

Z prof. Rafałem Stobieckim rozmawia Tomasz Siewierski



Studiował pan w Instytucie Historii Uniwersytetu Łódzkiego. Jak pan wspomina ten ośrodek z tamtych czasów?

Instytut Historii uł. w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych był miejscem niezbyt przyjaznym dla opozycji. W gronie samodzielnych pracowników naukowych w Solidarności była jedna osoba – Krystyna Śreniowska, plus kilku adiunktów i asystentów. Seminarium z historii najnowszej, które najbardziej odpowiadałyby tematyce moich zainteresowań, prowadzone były przez członków partii, działaczy na szczeblu uczelnianym lub wojewódzkim, jak prof. Barbara Wachowska czy prof. Stefan Banasiak.

Jak to się stało, że zdecydował się pan wybrać mało popularną historię historiografii?

Wybór był trochę przypadkowy, ale miał też wymiar polityczny. Byłem zwolennikiem Solidarności. Mam za sobą dwa strajki studenckie: jeden zakończony porozumieniem łódzkim i rejestracją NZS-u oraz drugi, radomski. Na trzecim roku, gdy stanąłem przed wyborem seminarium, zdecydowałem się pójść na zajęcia prof. Śreniowskiej nie dlatego, że mnie dzieje historiografii tak bardzo interesowały. Dyscyplina ta odpowiadała mi w tym sensie, że nigdy nie byłem znawcą faktów, nie lubiłem historii opartej na szczególe, a historia historiografii jest do pewnego stopnia historią idei. Ale głównym motywem była postawa pani profesor, która w czasie karnawału Solidarności została wybrana na wicedyrektora Instytutu Historii ds. studenckich. Byłem przekonany o jej prawości, czułem z nią ideową i emocjonalną więź. Gdy znalazłem się na seminarium prof. Śreniowskiej, zacząłem się zastanawiać nad tematem. Wpadłem na pomysł, by pisać o Stanisławie Cacie-Mackiewicz, a pani profesor, mimo sceptycyzmu na ten temat, się zgodziła. Po obronie pracy magisterskiej pojawiła się możliwość pracy na uniwersytecie. Dołączyłem więc do dwójki łódzkich badaczy historiografii: Śreniowskiej i Henryka Michalaka, który finalizował wówczas znakomitą pracę poświęconą Józefowi Szujskiemu.

Opiekunem pana doktoratu został Andrzej Feliks Grabski, wielka postać nie tylko dziejów historiografii, ale także mediewistyki. W odróżnieniu od Krystyny Śreniowskiej nie miał wielkich sympatii wobec Solidarności. Skąd decyzja o zmianie mistrza?

W 1986 roku prof. Śreniowska odeszła na emeryturę. Zostaliśmy z Henrykiem Michalakim jako historycy historiografii w Instytucie Historii sami. Jednak wkrótce pojawił się Andrzej Feliks Grabski, który wcześniej pracował wiele lat w Instytucie Historii PAN, a następnie był wicedyrektorem Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych. To była placówka skupiająca łódzką elitę partyjnych historyków i politologów. Dyrektorem tego instytutu był prof. Grzelak, ówczesny członek KC. Profesora Grabskiego poznałem wcześniej, bo na jego seminarium w MiNP skierowała mnie prof. Śreniowska. Oboje znali się z czasów seminarium Mariana Henryka Serejskiego. Warunkiem przyjęcia etatu w IH uł., postawionym przez Grabskiego, było utworzenie odrębnego Zakładu Historii Historiografii. Wcześniej badacze zajmujący się myślą historyczną pracowali w Zakładzie Nauk Pomocniczych Historii. Ówczesny dyrektor wyraził na to zgodę. I tak Andrzej Feliks Grabski został twórcą i pierwszym kierownikiem Zakładu Historii Historiografii w IH uł., a także moim bezpośrednim szefem.

W końcu lat osiemdziesiątych, a więc jeszcze w PRL, podjął pan badania nad stalinizacją polskiej historiografii w okresie powojennym. Nie był to oczywisty temat jak na owe czasy.

Zajęcie się historiografią pierwszych lat powojennych zasugerował mi Andrzej Feliks Grabski. Mój pomysł na pracę doktorską dotyczył pisarstwa gen. Mariana Kukieła, ale w drugiej połowie lat

osiemdziesiątych nie istniała możliwość wyjazdu na kwerendę do Londynu. Jednak propozycja Grabskiego mi się spodobała, bo interesowała mnie historia najnowsza. Moje obawy budził niemal zupełny brak jakiegokolwiek literatury na ten temat. Ale odnalazłem się w tej tematyce, która z czasem zaczęła mnie pasjonować.

A jak było z dostępnością źródeł do badania okresu stalinowskiego w końcu lat osiemdziesiątych?

Szczególnie istotna była prasa i tu kwerendę zrobiłem solidną. Problem pojawił się w zakresie dostępu do źródeł archiwalnych. Pomógł mi Grabski, który był bardzo opiekuńczym promotorem. Załatwił mi staż i jesienią 1988 roku przyjechałem do Warszawy, gdzie udałem się do Centralnego Archiwum przy KC PZPR. Dziś nie wszyscy wiedzą, ale katalog w tym archiwum istniał tylko do 1948 roku, a w odniesieniu do lat późniejszych obowiązywał tzw. system sowiecki i teczki wybierał i udostępniał archiwista według własnego uznania. Lecz nawet w zakresie materiałów do roku 1948 wielu zespołów nie chciano udostępnić. Załamany zadzwoniłem do Grabskiego i powiedziałem, jaki mam problem. Profesor skontaktował się ze swoją znajomą, wykładowczynią Akademii Nauk Społecznej przy KC PZPR, profesorem Barbarą Fijałkowską. Ona podała mi sygnatury do mogących interesować mnie dokumentów. Z taką ściągą udałem się znów do Centralnego Archiwum i wówczas częściowo mi te materiały udostępniono.

To był czas, kiedy większość historyków powojennych była wciąż aktywna. Na ile miał pan szansę i potrzebę zebrania od nich relacji?

Zrobiłem kilka wywiadów, w pracy powołuję się na trzy. Dziś mogę samokrytycznie powiedzieć, że byłem do nich nie najlepiej przygotowany. Próbowalem z nimi konfrontować źródła typu aktowego. Nie był to dobry czas na rozmowy o takim charakterze, który sugerowałby jakąś formę rozliczenia z przeszłością. Historycy uwikłani w stalinizm raczej nie byli skorzy, by o tym opowiadać. W rezultacie tych badań obronił pan doktorat, a następnie wydał pionierską książkę *Historia pod nadzorem*. Dość szybko jednak porzucił pan historiografię PRL.

Tak, zająłem się bolszewicką filozofią dziejów i podjąłem próbę narysowania modelu myślenia o historii, który dominował w środowisku bolszewików. Zmiana tematu podyktowana była między innymi zasadą, że praca habilitacyjna nie powinna być rozwinięciem tematyki doktoratu.

Po uzyskaniu habilitacji na podstawie rozprawy *Bolszewizm a historia* nie wrócił pan do historiografii PRL, lecz do pierwotnego pomysłu na doktorat, do gen. Kukieła.

Czasy się zmieniły i wyjazd do Londynu przestał być problemem. Podjąłem badania nad polską historiografią emigracyjną. W efekcie dzięki dwóm stypendiom Polonia Aid Foundation Trust napisałem książkę *Klio na wygnaniu. Z dziejów polskiej historiografii na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii po 1945 r.* i serię artykułów publikowanych w różnych czasopiśmiech.

Po książce o polskich historykach w Londynie przyszedł czas na chwilowy powrót do historiografii PRL i w 2007 roku opublikował pan książkę będącą antologią artykułów należących do tej tematyki.

Do historiografii PRL wróciłem dzięki Marcinowi Kuli, który zaproponował mi, żebym napisał *Historiografię PRL* dla redagowanej m.in. przez niego serii wydawnictwa „Trio” – „W Krainie PRL”. Początkowo bardzo się do tego zapalałem, ale z czasem uświadomiłem sobie, że syntetycznej książki nie jestem w stanie napisać, w rezultacie opublikowałem zbiór studiów. Po tej książce znów zająłem się środowiskiem polskich historyków emigracyjnych, tym

razem w Stanach Zjednoczonych i wydałem książkę *Klio za wielką wodą*.

Chciałbym też wspomnieć o wyjątkowym wydawnictwie w pana dorobku: trzytomowym wyborze korespondencji Jerzego Giedroycia z historykami i świadkami historii. To zainteresowanie historią widzianą z Maisons-Laffitte jest widoczne w pana badaniach od mniej więcej 2005 roku, a wydana w 2019 roku korespondencja stanowi jego niewątpliwie ukoronowanie. Na ile lektura tych listów wpłynęła na postrzeganie przez pana historiografię PRL?

W stopniu zasadniczym nie zmieniła mojego poglądu na historiografię PRL. Uświadomiłem sobie dobitnie, że badacze krajowych, którzy utrzymywali kontakt z Giedroyciem i redakcją „Zeszytów Historycznych”, było nie tak dużo, że to wymagało odwagi cywilnej i pójścia pod prąd. Zdałem sobie także sprawę, że często dla historyków dziejów najnowszych to była jedyna możliwość opublikowania tekstów po polsku na tematy podlegające w kraju cenzurze.

Przejdźmy zatem do pana najnowszej książki *Historiografia PRL*. Co zaważyło, że wreszcie zdecydował się pan napisać syntezę?

Pierwszy powód był prozaiczny: naturalna potrzeba podsumowania własnych badań. Po drugie, motywował mnie brak tego typu opracowania w dotychczasowej literaturze. Po trzecie, chciałem wpisać tę książkę w szerszy spór, jakim jest dyskusja o PRL. Czyli w jakimś sensie dokonać bilansu PRL, w tym przypadku w odniesieniu do historiografii, czyli sfery intelektualnej. Ta dyskusja zaczęła się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, ale trwa do dzisiaj i zaznaczają się w tym sporze różne stanowiska, o których w książce trochę piszę.

Uwagę czytelników z pewnością zwróci formuła, jaką zastosował pan w swojej narracji, gdzie teksty źródłowe sąsiadują z pańskimi analizami.

Postanowiłem napisać książkę, która będzie skierowana nie tylko do „sekt” historyków historiografii czy metodologów historii. Zależało mi, żeby zainteresować tematem szersze grono badaczy dziejów najnowszych, a także przedstawicieli innych specjalizacji: ekonomii, socjologii, kulturoznawstwa, historii literatury. W jakimś sensie moją intencją było także to, aby zaprezentować autorские czy też trochę pokoleniowe spojrzenie na naukę historyczną po 1945 roku. Temu podporządkowana jest koncepcja pracy. Nawiązuję w niej do książki Jerzego Topolskiego *Od Achillesa do Béatrice de Planissolles*, gdzie mamy połączenie tekstów wprowadzających z fragmentami ze źródeł, a trochę do anglosaskiej tradycji *readerów*, czyli wprowadzeń do poszczególnych dyscyplin. W tym przypadku jest to próba zderzenia ze sobą autorskich esejów i tekstów źródłowych, które mają bardzo zróżnicowany charakter. W książce umieściłem bowiem zarówno fragmenty dzieł historyków akademickich, jak i publicystów. Chciałem, żeby ktoś, kto sięgnie do tej pracy, miał możliwość kontaktu z językiem epoki. To jest bardzo istotne. Widać to zwłaszcza na przykładzie czasów stalinowskich, lat pięćdziesiątych. Obserwując młodsze pokolenie moich studentów, dostrzegam często ich intelektualną bezradność wobec literatury z tamtego czasu.

Historia historiografii jest problematyką pozostającą wciąż na marginesie nauki historycznej i bywa także bardzo różnie rozumiana. Kluczowa dla książki, o której rozmawiamy, wydaje mi się pańska definicja tej dyscypliny.

Dla mnie historia historiografii jest – w najogólniejszym sensie – krytycznym namysłem nad tym, jak przeszłość, argument z historii, funkcjonuje w danej kulturze. Historia historiografii to młoda dyscyplina. W Polsce została stworzona po drugiej wojnie

światowej przez Mariana Henryka Serejskiego. W środowisku naukowym funkcjonują dwa sposoby rozumienia tej dyscypliny. Pierwsze jest węższe: koncentrujemy się w nich na pracach i ich autorach, zaś efektem badań są wówczas często jedynie „wyszumowane bibliografie”. Jest to podejście całkowicie mi obce, prowadzące w moim przekonaniu do marginalizacji tej dyscypliny. Ja historię historiografii staram się rozumieć szerzej. Wyróżniam trzy domeny refleksji historiograficznej. W centrum pierwszej domeny znajdują się struktury nauki historycznej i środowisko historyków. Druga domena to założenia metodologiczne i teoretyczne historiografii w danym okresie. Jestem głęboko przekonany, że każdy badacz ma jakąś wizję przeszłości (czasem nie jest ona do końca uświadomiona), która steruje jego praktyką historiograficzną. Po trzecie, domeną historii historiografii jest kreowany przez badaczy obraz dziejów narodowych czy dziejów powszechnych.

Badając historiografię PRL, musiał się pan mierzyć z marksistowską wizją dziejów, która jest bardzo odległa od pańskiego światopoglądu.

Z pewnością było to dla mnie intelektualne wyzwanie. Musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, jaki marksizm dominował w historiografii polskiej po 1945 roku, a jak wiadomo, nie ma tu jednej poprawnej odpowiedzi dla całego okresu. Do tego wyzwania byłem przygotowany, bo zajmowałem się wcześniej bolszewicką filozofią dziejów, przestudiowałem pisma klasyków marksizmu. Nie zgadzałem się i nie zgadzam nadal z tym, co pod pojęciem marksizmu proponowano w historiografii PRL, pomimo mojej sympatii do Marksa jako uczonego i filozofa, który pozostaje wielką indywidualnością myśli europejskiej. Jednak marksizm-leninizm w rozumieniu ideologii państwowej oraz sposób jego wprowadzenia do historiografii budzi moją pryncypialną niezgodę.

Tak jak zmieniała się oficjalna wykładnia marksizmu, zmieniały się także warunki pracy historyków. W dziejach historiografii PRL wyróżnia pan kilka okresów. Pierwszy to czas tużpowojenny, poprzedzający stalinizm. Czy te pierwsze lata to na pewno już historiografia PRL, czy jeszcze kontynuacja dwudziestolecia międzywojennego?

Aby sensownie mówić o jakimś fenomenie, w tym przypadku historiografii PRL, musimy go spróbować umiejscowić w czasie. W tym sensie cezury 1945–1989 nie podlegają dla mnie dyskusji. Jeżeli chodzi o pierwsze lata powojenne, możemy na to spojrzeć z punktu widzenia kontynuacji i dyskontynuacji. Niewątpliwie mieliśmy wówczas do czynienia z kontynuacją w sensie takim, że dalej aktywne były środowisko i pokolenia, które wykształciły się w realiach II Rzeczypospolitej. Mówimy o kontynuacji w sensie instytucjonalnym: dalej istnieje Polska Akademia Umiejętności, wychodzą „Kwartalnik Historyczny” i „Przegląd Historyczny”, działa Polskie Towarzystwo Historyczne. Mamy też do czynienia z pewną ciągłością wizji przeszłości, która uprzywilejowuje polityczną warstwę procesu dziejowego oraz historię idei. Jednocześnie obserwujemy wyraźną dyskontynuację, polegającą na tym, że następuje pęknięcie w środowisku historyków. Objawia się grupa badaczy, którzy identyfikują się z komunistyczną lewicą, a z innego punktu widzenia z marksizmem, i zaczynają obejmować w strukturach nauki historycznej kluczowe stanowiska (np. Żanna Kormanowa zostaje profesorem Uniwersytetu Warszawskiego).

Mamy do czynienia z dyskontynuacją zasadniczą, jeśli chodzi o obraz dziejów Polski. W przeszłość odchodzi idea Polski jagiellońskiej, a rodzi się idea Polski piastowskiej, która jest częścią programu komunistów. Dyskontynuacją jest także konfrontacja odbywająca się na poziomie struktur organizacyjnych historiografii.

Istnieją jeszcze przedwojenne ośrodki, ale też tworzą się nowe: *vide* Szkoła Partyjna PPR w Łodzi, Wydział Historii Partii PPR, wreszcie w 1948 roku na Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich we Wrocławiu powstaje nieodgrywające potem wielkiej roli Marksistowskie Zrzeszenie Historyków, które pomyślane jest jako konkurencja dla Polskiego Towarzystwa Historycznego. To jest więc czas, kiedy znajdujemy korzenie historiografii PRL, zaczynają się pewne rzeczy, które później znajdą swoje rozwinięcie.

Jakie wydarzenia symbolizują stalinizm w polskiej nauce historycznej?

Symbolicznym początkiem jest na pewno I Kongres Nauki Polskiej i wygłoszony tam referat w podsekcji historii i prehistorii w 1951 roku, autorstwa Żanny Kormanowej, oraz powstanie w 1950 roku Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Do tego oczywiście likwidacja PAU oraz Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i marginalizacja Instytutu Zachodniego. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych redakcje „Kwartalnika Historycznego” i „Przeglądu Historycznego” przejmują marksści i wkrótce mamy zmianę tematyki tych czasopism – to samo towarzyszy prasie społeczno-kulturalnej. Znikają polemiki prasowe, takie jak te, które obserwowaliśmy zaraz po wojnie między „Kuźnicą” a „Tygodnikiem Powszechnym”. Prasa zaczyna mówić jednym głosem. W okresie stalinowskim próbowano zaaplikować do polskich warunków stalinowski model nauki historycznej, od struktur przez założenia teoretyczne aż po obraz dziejów. Temu miała służyć słynna konferencja otwocka (1951/1952), którą Adam Galos nazwał, moim zdaniem trafnie i efektownie, „uczta kiejdańska polskiej historiografii”.

W Otwocku w sposób spektakularny zadekretowano triumf marksizmu-leninizmu. Ciekawe jednak, że owo absolutne zwycięstwo stalinowskiego modelu zostało ogłoszone przedwcześnie. Władza nie dysponowała wystarczającą kadrą, żeby obsadzić wszystkie eksponowane stanowiska i przede wszystkim pojawiła się grupa profesjonalnych historyków gotowa pójść na kompromis z rządzącymi w imię „obrony substancji”. I tak dochodzimy do 1 stycznia 1953 roku, czyli utworzenia Instytutu Historii PAN, który formalnie kończył przebudowę nauki historycznej w duchu stalinowskim, ale jego dyrektorem został Tadeusz Manteuffel, który z marksizmem nie miał wiele wspólnego. To była sytuacja wyjątkowa w skali całego obozu krajów socjalistycznych, bo okazało się, że w wyniku różnych zakulisowych działań najbardziej sztandarowa instytucja marksistowskiej nauki pozostała w rękach przedwojennych, w większości bezpartyjnych badaczy, nierzadko związanych w okresie okupacji z Biurem Informacji i Propagandy Armii Krajowej. Do dziś nie wiemy do końca, dlaczego się tak stało, choć istnieje kilka domysłów.

Jaki więc był bilans stalinizmu?

Jak najbardziej negatywny. Po pierwsze, pozostawił niezatarte ślady w mentalności historyków. Wola oporu wobec władzy, chęć obrony własnego stanowiska i nonkonformizm zostały złamane. To położyło się cieniem na dalszych losach historiografii, bo dotyczyło i tych, którzy w tym czasie odgrywali czołową rolę w nauce historycznej i tych, którzy wówczas studiowali. Po drugie, stalinizm dokonał centralizacji nauki historycznej, co było widoczne do 1989 roku. Z punktu widzenia naukowego kluczową rolę odgrywał w niej IH PAN, zdecydowanie mniejsze znaczenie miały uniwersytety, zmarginalizowano PTN, które choć próbowało odbudować swoją pozycję, to jednak do 1989 roku nie odzyskało statusu w pełni niezależnej organizacji środowiskowej. Po trzecie, stalinizm zadecydował o tym, że uprzywilejowaną formą refleksji

metodologicznej był marksizm. Inna sprawa, jak był rozumiany. Po czwarte, stalinizm utrwalił także głęboką reorientację obrazu dziejów Polski. Z jednej strony obowiązywała w nim matryca w postaci idei Polski piastowskiej, z drugiej strony to, co się wiązało z instrumentarium marksistowskim: teoria formacji społeczno-ekonomicznych i klasowy punkt widzenia.

Po stalinizmie przychodzi odwilż popaździernikowa i zmieniają się warunki pracy historyków.

Cały październik 1956 roku gruntownie zmienia Polskę. Następuje przejście – tu się zgadzam z Andrzejem Walickim – od ustroju totalitarnego w stronę ustroju autorytarnego. Z punktu widzenia historiografii ważne są dwie rzeczy. Odradza się pewien pluralizm założeń teoretyczno-metodologicznych, a więc można już było funkcjonować w świecie naukowym, nie deklarując się wprost jako marksista. Pojawia się także możliwość tworzenia alternatywnego dla oficjalnego obrazu dziejów, czego najlepszym przykładem jest twórczość Pawła Jasienicy.

Jak zmieniły się warunki pracy historyków za rządów Gomułki?

Był to rodzaj stabilizacji dla historyków przede wszystkim dlatego, że poszerzyły się możliwości prowadzenia w miarę swobodnej refleksji nad przeszłością, wyłączając oczywiście pewne wątki z XIX stulecia, XX wiek i stosunki polsko-rosyjskie. Tworzyły się nowe platformy współpracy historyków z władzą. Takim spektakularnym przykładem jest rok 1966 i obchody tysiąclecia państwa polskiego. Prace Komitetu Badań nad Początkami Państwa Polskiego są bez wątpienia trwałym osiągnięciem polskiej historiografii. Trzeba też powiedzieć, że pod wpływem środowiska moczarskiego, czyli grupy narodowych komunistów, otworzyły się możliwości rewizji spojrzenia na historię najnowszą, na dzieje sprawy polskiej w czasie drugiej wojny światowej, na dostrzeżenie wysiłku Armii Krajowej. Kluczowe znaczenie ma tu książka Zbigniewa Żaluskiego *Siedem polskich grzechów głównych*. Swoją drogą ciekawe, jak bardzo oburzyliby się dzisiejsi twórcy polityki historycznej, gdyby im zaproponować taką interpretację, że są do pewnego stopnia dziedzicami tradycji moczarskiej?

Kolejną cezurę stawia pan w roku 1970, gdy dochodzi do zmiany na stanowisku I sekretarza KC PZPR. Czy jednak nie rok '68 powinniśmy uznać za cezurę?

Nie postawiłem cezury w 1968 roku, bo gdybym to zrobił, mój zamysł, żeby pokazać epokę gomułkowską jako pewną całość byłby niezrealizowany, poza tym nagle okazałoby się, że w dziejach historiografii obowiązują cezury czysto polityczne i wołałem rzecz nieco zniuansować. Natomiast wydarzenia 1968 roku stanowią bez wątpienia czarną kartę w dziejach nauki polskiej, nie tylko z powodu antysemickiej retoryki, ale także ze względu na powrót do tych czasów, które, wydawać by się mogło, ostatecznie minęły. Krystyna Śreniowska, pisząc o wydarzeniach marcowych w Łodzi, nazywała je za Julianem Strykowskiem „wielkim strachem”. Ta atmosfera jednoznacznie negatywnie wpływała na wszystkie środowiska naukowe, w tym także na historyków. Na skutek tych wydarzeń opuściło Polskę bardzo wielu badaczy z różnych instytucji, z bardzo zróżnicowanym dorobkiem. Wyemigrowały prominentne postaci związane z warszawską szkołą historyków idei, jak Bronisław Baczko czy Leszek Kołakowski. Wyjechała także spora grupa wywodząca się z wojskowych struktur nauki historycznej: Emanuel Halicz, Józef Lewandowski. Z ośrodka łódzkiego na emigrację udali się Paweł Korzec, Henryk Katz. Ale wyjechał także Aleksander Litwin, historyk związany z partyjnym szkolnictwem wyższym, zaangażowany wcześniej w proces stalinizacji. I ostatnia sprawa: jest to także okres zdumiewających karier historyków

miernych, ale wiernych, którzy wykorzystują tę sytuację i obejmują eksponowane stanowiska, czyli tak zwani docenci marcowi.

Czy w okresie gierkowskim warunki pracy historyków i ich efekty różniły się istotnie od czasów gomułkowskich?

Środowisko historyczne w swojej masie dało się uwieść modernizacyjnej obietnicy towarzysza Edwarda Gierka i nie jest dziełem przypadku, że wzrasta wówczas znacznie upartyjnienie środowiska. Nastąpiła fala akcesów do PZPR wśród młodych badaczy. Nie jestem w stanie rozstrzygnąć, na ile wiązało się to z autentyczną wiarą w lepszą Polskę, na ile było koniunkturalne, wynikało z przekonania, że bez tego nie da się zrobić kariery akademickiej. W latach siedemdziesiątych zmienia się w pewnym stopniu status marksizmu, nie prowadzi się już gorących sporów ideologicznych, marksizm zaczyna przenikać do historiografii na zasadzie osmozy. Jest to także okres postępującej liberalizacji cenzury. Poszerzają się znacznie obszary względnie swobodnej refleksji historycznej, jeżeli chodzi na przykład o wiek XIX. Wówczas ukazują się dwa tomy trylogii Henryka Wereszyckiego, monumentalna praca Stefana Kieniewicza o powstaniu styczniowym. Opublikowane zostają także trzy nowe syntezy dziejów Polski: warszawska, poznańska i krakowska. Wyłączając ze wszystkich tych syntez tomy lub części dotyczące historii najnowszej, każda z nich stanowi nowoczesne ujęcie; jest w nich dużo historii społecznej, ale wraca historia polityczna, jest obecna historia kultury.

Lata osiemdziesiąte wydają się już czasem ogromnej swobody badawczej. Czy pana zdaniem to nadal PRL?

W sensie politycznym to jest wciąż PRL, ale także w sensie historiograficznym, choćby dlatego, że w dalszym ciągu trwa odziedziczona po stalinizmie struktura organizacyjna, dalej działa cenzura, trwa polityczna kontrola środowiska historyków. Pytanie, na ile te dzieła, które wtedy powstają, egzemplifikują specyficzne cechy pisarstwa historycznego w okresie PRL. Takich sztandarowych prac jest już wtedy niewiele, choć oczywiście nadal publikują tacy „historycy klasycy” jak Władysław Góra, Bronisław Syzdek czy Norbert Kołomejczyk. Kontynuację PRL dostrzegam także w postawach historyków, którzy jednak zachowują daleko idącą wstrzeźliwość w stosunku do środowisk opozycyjnych.

Co zmienia rok 1989?

Był przełomem w trojakim sensie. Po pierwsze dlatego, że zatrumfowała idea wolności badań naukowych. Po drugie, w sensie dostępu do archiwów na skalę niespotykaną. Po trzecie, zaczynają znikać tematy, które do tej pory istniały jako „białe plamy” w polskiej historii.

W swojej książce wielokrotnie nawiązuje pan do Powszechnych Zjazdów Historyków Polskich, które swoją tradycją sięgają końca XIX wieku. Wielkie spotkania historyków odbywały się także co pięć lat – wyłączając okres stalinowski – w PRL.

Wspominam zjazdy i przypisuję im spore znaczenie, ponieważ wydają mi się one ważne jako głos środowiska, który winien być uwzględniony w całej panoramie przemian historiograficznych. Zjazdy były także swoistym barometrem przemian dokonujących się w historiografii. Taki charakter miał pierwszy powojenny zjazd we Wrocławiu w 1948 roku, ale też taki był zjazd w 1989 roku w Łodzi. Był to pierwszy zjazd, w którym uczestniczyłem. Chyba nie do końca zgodnie z intencjami jego organizatorów odbywał się pod hasłem rewolucji, co było nawiązaniem do rocznic rewolucji francuskiej i rewolucji przemysłowej, ale też nagle okazało się, że rewolucja dokonuje się w Polsce na oczach uczestników tego zjazdu.

Czy dzięki specyficznym warunkom wynikającym z ustroju i warunków politycznych w PRL powstały prace szczególnie cenne, zachowujące ponadczasową wartość?

Dariusz Stola, komentując moją *Historiografię PRL*, stwierdził, że uprawiam krytyczną afirmację. Jak rozumiem, wynika to z tego, że jestem przekonany, iż historycy w PRL mieli swoje znaczące osiągnięcia, które dotyczą różnych dziedzin. Niewątpliwie jest to złoty okres rozwoju mediewistyki. Wyjątkowe i ważne są osiągnięcia historiografii PRL w badaniach nad historią klas marginalizowanych: chłopów i robotników. Docenić należy wkład polskich badaczy w światową dyskusję na temat przejścia od feudalizmu do kapitalizmu: mam na myśli prace Mariana Małowista, Witolda Kuli, Andrzeja Wyczańskiego i Jerzego Topolskiego. Na wyróżnienie zasługuje także dorobek warszawskiej szkoły historyków idei. Do dziś bronią się osiągnięcia bliskiej mi historii historiografii – większość dzieł Mariana Henryka Serejskiego i jego kontynuatorów. Niezwykle ważne są także dokonania polskich badaczy w zakresie dziejów drugiej wojny światowej, przykładem jest dzieło Czesława Madajczyka *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, które niestety nie znalazło kontynuacji w późniejszej historiografii. W tym zakresie warto też podkreślić znaczenie prac Tomasza Strzembosza i Tomasza Szaroty dotyczących okupowanej Warszawy.

Czy w historiograficznej spuściźnie Polski Ludowej znajduje pan dzieła, które można ocenić zdecydowanie negatywnie?

Wstydliwą kartą polskiej historiografii są podręczniki z okresu stalinowskiego, ale też część pisanych później. Plamą na honorze środowiska historycznego było fałszowanie wydawnictw źródłowych. To się działo nie tylko w okresie stalinowskim, aczkolwiek potem stosowano już bardziej wyrafinowane metody, na przykład pewne teksty pomijano, nie zaznaczając tego w przedmowie czy w przypisie. Rażącem przykładem jest opublikowany w latach osiemdziesiątych zbiór tekstów źródłowych adresowanych do uczniów szkół. Redaktorem tomu był Ryszard Nazarewicz. Jednym z drukowanych tam dokumentów był tekst układu Ribbentrop-Mołotow. Do tekstu Nazarewicz zrobił przypis, który brzmiał mniej więcej: „W nauce zachodniej zwykle dodaje się do tego tekstu treść tzw. tajnego Protokołu do układu Ribbentrop-Mołotow. Nauka radziecka do tej pory nie potwierdziła autentyczności tego dokumentu”. Ten przypis był już tylko i wyłącznie egzemplifikacją wiernopoddańczej postawy historyka. Innego typu czarną kartą historiografii PRL są propagandowe publikacje na temat ruchu robotniczego autorów, którzy często nie byli nawet profesjonalnymi historykami, jak Tadeusz Daniszewski czy Józef Kowalski. Byli natomiast bardzo głęboko zaangażowani w działalność komunistyczną od lat międzywojnia.

A paradoksy historiografii? Czy ukazały się książki, o których nigdy byśmy nie pomyśleli, że mogły ukazać się w tamtych warunkach?

Są takie książki, które czytając dzisiaj i pamiętając, kiedy się ukazały, można dojść do wniosku, że zupełnie nie pasują do realiów tamtych czasów, *Rodowody niepokornych* Bohdana Cywińskiego, które ukazały się w 1971 roku, to książka formacyjna dla kształtującej się opozycji demokratycznej. Podobnie ważne były *Sylwetki polityczne XIX wieku* Wojciecha Karpińskiego i Marcina Króla wydane w 1974 roku. Niewątpliwie niepoprawna politycznie była książka Marii Turlejskiej *Zapis pierwszej dekady*. Dziś może wydawać się ona anachroniczna, ale gdy ukazała się w 1972 roku, była zdecydowanie odważna. W niej po raz pierwszy przeczytałem o „procesie szesnastu”, a żeby się z nią zapoznać w latach osiemdziesiątych, musiałem mieć zgodę samodzielnego pracownika naukowego Uniwersytetu Łódzkiego. I to także paradoks, że książka wydana przez partyjną

oficynę wydawniczą „Książka i Wiedza” w nakładzie 20 000 egzemplarzy trafia na listę prohibitów. Chciałbym jeszcze przypomnieć książkę Romana Korab-Żebryka o operacji wileńskiej Armii Krajowej, która ukazała się w pwn, ale jej epilog wyszedł już w drugim obiegu jako oddzielna broszura, bo dotyczył represji NKWD wobec żołnierzy AK.

Jak przynależność pokoleniowa wpływa na pańskie oceny tamtej historiografii?

Należę do pokolenia tak zwanej pierwszej Solidarności, pokolenia, które na początku lat osiemdziesiątych wchodziło w dorosłe życie. Była to generacja, dla której istotne znaczenie miał podział na „my i oni”, czyli ten podział, który utrwalił tak naprawdę stan wojenny i decyzja gen. Jaruzelskiego. Było to pokolenie, które szukało pewnych luk w systemie czy pewnych sfer, do których ten system nie sięgał albo nie chciał sięgać. Było to pokolenie naznaczone tym determinizmem, który przywołuję poprzez cytaty z twórczości Marty Wyki, będący mottem rozpoczynającym moją książkę: „Pokolenie, które nie wierzyło, że ten system może upaść, że może się załamać, że Polska może odzyskać niepodległość”.

W kontekście samej pracy niewątpliwą rolę odgrywa doświadczenie autobiograficzne, czyli doświadczenie dziecka późnego PRL, które miało przywilej późnego urodzenia i nie musiało stać przed dylematami z okresu stalinowskiego czy z lat sześćdziesiątych. W jakimś sensie jest to generacja przyzwyczajona do patrzenia na PRL w kategoriach paradygmatu totalitarnego, bo tak mnie ukształtowały ówczesne lektury Czesława Miłosza, Hannah Arendt, Karla Poppera. Do dzisiaj mam skłonność interpretowania doświadczenia peerelowskiego przez pryzmat właśnie kategorii totalitaryzmu. Wpływ oczywiście na to, jak ta książka wygląda, miał fakt, że piszę o swoich mistrzach i o swoich nauczycielach w rozumieniu szerokim. A więc piszę o historykach, których prace czytałem, które były dla mnie ważne i kształtowały mnie jako historyka, ale także jako obywatela. W związku z tym mam emocjonalny stosunek do ich dorobku. Dlatego m.in. nie jestem w stanie się pogodzić z tezą, że wszystko, co w PRL o historii napisano, to makulatura i wszystko jest skażone ideologią. Wreszcie chciałem, żeby moja książka była spojrzeniem na PRL z perspektywy „długiego trwania”, czyli nie tylko odwołującej się do mojego doświadczenia pokoleniowego, ale także uwzględniającej w miarę możliwości doświadczenie innych generacji historyków.

Jakie lektury należące do dorobku historyków PRL, które czytywał pan w latach osiemdziesiątych i później, odegrały ważną rolę w postrzeganiu przez pana dorobku historiografii PRL?

Odpowiedź nie jest łatwa, ponieważ z jednej strony oczywiście czytałem – bo nie mogłem nie czytać – klasyków historiografii PRL: Witolda Kulę, Jerzego Topolskiego, Stefana Kieniewicza, Janusza Pajewskiego, Janusza Tazbira. Miałem jednak ewidentną predylekcję do fascynowania się książkami i autorami, którzy nie mieścili się w oficjalnym nurcie historiografii i często nie byli akademickimi historykami. Tutaj chcę wymienić Pawła Jasienicę, Stanisława Cata-Mackiewicza, Andrzeja Micewskiego, który zrobił na mnie spore wrażenie książkami o Romanie Dmowskim i o PAX-ie. Ważne były dla mnie lektury wspomnianych już Bohdana Cywińskiego oraz Wojciecha Karpińskiego i Marcina Króla. Nie mogę nie wspomnieć o Henryku Wereszyckim jako o autorze tekstów drukowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Do tych formacyjnych lektur w latach osiemdziesiątych doszły jeszcze prace Krystyny Kersten, przede wszystkim *Narodziny systemu władzy*, a także książki Jerzego Łojka. W latach osiemdziesiątych dzięki działalności drugiego obiegu wydawniczego trafiały do mnie

publikacje emigracyjne i wtedy czytałem zarówno Mariana Kukieła, Władysława Pobóg-Malinowskiego, jak i... Józefa Mackiewicza. **Czy historycy, którzy przeszli długą drogę z PRL do III RP, powinni rozliczyć się z działalnością w tamtym okresie? Czy takich rozliczeń zabrakło w latach dziewięćdziesiątych?**

Określam się jako przeciwnik tak zwanej krytyki prokuratorskiej, o której bardzo efektownie pisał Michał Głowiński. Natomiast nie znaczy to, że gotowy jestem zaakceptować środowiskowe milczenie o okresie słusznie minionym, jakie zapanowało w latach dziewięćdziesiątych. Nie było, jak sądzę, dziełem przypadku, że jednym z nielicznych historyków, którzy na ten temat się wypowiadali, był Stefan Kieniewicz, który na łamach „Tygodnika Powszechnego” opublikował tekst *Rachunek sumienia*. Kieniewicz trafnie odczytywał pewną społeczną potrzebę dokonania takiego rozrachunku z przeszłością. Trudno jednak wskazać na pracę porównywalną z *Hańbą domową* Jacka Trznadla, która by dotyczyła środowiska historyków. Czy historycy powinni się rozliczać? Na to pytanie nie mam jednoznacznej odpowiedzi, jest to kwestia bardzo indywidualna. Natomiast oczekiwałem od środowiska moich nauczycieli i mistrzów jednego, tego, o czym pisał Kieniewicz w przywołanym przed chwilą tekście, a co określić można mianem „filozofii przypisu”. Kieniewicz zauważa w pewnym momencie, że dobrze by było, żeby ci koledzy, którzy przez lata pisali w określonej konwencji, w swoich nowych książkach zrobili taki krótki przypis informujący czytelnika o tym, że teraz piszą inaczej, że zmienili poglądy. Taki krótki przypis mnie by zupełnie satysfakcjonował. Ze smutkiem stwierdzam, że takiego odsyłacza w książkach publikowanych w latach dziewięćdziesiątych nie znalazłem. A przecież były takie spektakularne konwersje historyków, przychodzi mi na myśl na przykład Paweł Wieczorkiewicz, który po 1989 roku radykalnie zmienił poglądy.

Chciałbym poprosić o refleksję nad aktualną sytuacją nauki historycznej. Ile historiografii PRL jest w historiografii polskiej ostatnich kilku lat?

Z przykrością stwierdzam, że obecnie mamy do czynienia z renesansem pewnych praktyk z okresu PRL. Wskażę tutaj na dwa przykłady, które mnie jako historyka irytują i niepokoją. Pierwszy to swoisty powrót historii na usługach ideologii, co wyraźnie widać w kolejnych odsłonach polityki historycznej obozu Zjednoczonej Prawicy. Historia nigdy nie była niewinna, zawsze służyła jakimś interesom, ale są granice, których akademicy badacze nie powinni przekraczać. Mam wrażenie, że w tej chwili w Polsce historycy z tytułami zbyt często angażują się w kreowanie takiej właśnie nacjonalistycznej i ksenofobicznej polityki historycznej. Klasycznym przykładem jest tutaj dla mnie rehabilitacja Narodowych Sił Zbrojnych, która dokonana się w ostatnich latach z inicjatywy czołowych polityków: prezydenta, premiera, samego prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Drugą praktykę, jaką dostrzegam, charakteryzowałem już, gdy wspominaliśmy o latach sześćdziesiątych. Mamy do czynienia z gwałtownym wzrostem popularności martyrologicznej i heroistycznej historiografii. Jest to taka wizja dziejów Polski, z którą się nie zgadzam, choć zdaję sobie sprawę, że ona dobrze wpisuje się w mentalność Polaków. Niemniej budzi mój niepokój, że w odrodzenie się takiego właśnie obrazu historii Polski angażują się, skądinąd cenieni przeze mnie, historycy z wielkim dorobkiem, na przykład Andrzej Nowak, którego wielce erudycyjna książka *Pierwsza zdrada Zachodu* wpisuje się w tę tendencję i sprzyja takiemu prowincjonalnemu, wsobnemu myśleniu o narodowej przeszłości oraz rehabilitacji obecnego od czasów romantyzmu w historiografii polskiej syndromu wiktymizacyjnego. ●